

Krzysztof Wołodźko: Kultura i polityka w oczach T.S. Eliota. Historia pewnej zależności

T.S. Eliot w swoim eseju nie proponował programu naprawczego dla kultury, nie pisał kontrrewolucyjnego manifestu, uwagi polityczne traktował jako bieżące egzemplifikacje głębszych zjawisk, a nie sedno spraw. Jako intelektualista widział kulturę w jej dziejowym i powszechnym wymiarze, pojmował ją jako „nieświadome tło wszystkich naszych planów”, prawdziwą ziemię ludzkiej wspólnoty – pisze Krzysztof Wołodźko w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „T.S. Eliot. Poeta u źródeł”.

Pod koniec II wojny światowej T.S. Eliot zaczął pracę nad esejem, który po kilku latach przybrał postać książki *Uwagi ku definicji kultury*. Rzecz wydano w 1948 roku. W tym samym roku artysta otrzymał literacką nagrodę Nobla za „swój wybitny i pionierski wkład w poezję współczesną”. *Uwagi...* wraz z dodatkiem „Jedność kultury europejskiej” ukazały się ponownie w 1961 roku, już w formie paperbacku, by myśl trafiła pod strzechy, a wydawcy mogli więcej zarobić na nobliście.

Drugie wydanie pracy Eliot opatrzył drobnym, acz znamienym komentarzem: „gdy człowiek zdobywa większe doświadczenie wobec otaczającego go świata, mijające lata mogą przynieść jeszcze większe zmiany jego poglądów na sprawy społeczne i polityczne niż jego gusta i opinie na polu literatury. Na przykład nie powinienem się obecnie

Całość przynosi znaczny ładunek metapolitycznych treści, o wiele bardziej intrygujących, niż mógłby to sugerować mało porywający tytuł lektury

nazywać «rojalistą» *tout court*, jak to niegdyś robiłem. Powiedziałbym, że skłaniam się ku utrzymaniu monarchii w każdym kraju, w którym monarchia wciąż

istnieje”. Oczywiście, nie mamy do czynienia z bieżącą publicystyką polityczną. Całość przynosi znaczny ładunek metapolitycznych treści, o wiele bardziej intrygujących, niż mógłby to sugerować mało porywający tytuł lektury.

Zapewne konserwatyści czy też wszyscy, którzy określają się mianem przeciwników liberalnej/lewicowej kultury współczesnej (tak się często definiuje obecnie masowy rodzimy konserwatyzm), znajdą w *Uwagi...* ukojenie dla swych skołatanych ponowoczesnością nerwów. Rzecz utkano przecież z antyegalitarnych pasji, a serce T.S. Eliota zdecydowanie nie biło po lewej stronie.

Choć warto dodać, że jego głębokie przekonanie o konieczności zróżnicowania społecznego, czy mówiąc otwartym tekstem: podziałów klasowych, współgrało z myślą o potrzebie dialogu nie tylko w świecie elit: „społeczeństwo jest zagrożone dezintegracją, jeśli występuje w nim brak kontaktu między ludźmi na różnych obszarach działania – politycznych, naukowych, artystycznych, filozoficznych i religijnych

umysłów”. W czasach coraz węższych specjalizacji, gettoizacji debat eksperckich już tylko z tej myśli Eliota dałoby się wyciągnąć wiele pożytecznych wniosków teoretycznych i praktycznych.

*Kultury nie da się
wyprodukować, uzyskamy
raczej jej zamiennik*

Poetę niepokoiła
myśl, że w jego epoce
kultura jest coraz
mocniej
podporządkowywana
interesom

politycznym i wikłana w coraz bardziej złożoną inżynierię społeczną, której bodaj najistotniejszym narzędziem jest system edukacji. „To naturalne u każdej osoby popierającej zmiany społeczne, zmiany systemu politycznego, rozwój edukacji czy rozwój opieki społecznej, że będzie twierdziła z całym przekonaniem, iż doprowadzi to do poprawy i wzrostu kultury” – dla Eliota sprowadzanie kultury do pochodnej innych czynników tworzących *oikumene* było poważnym błędem. Kultury nie da się wyprodukować, uzyskamy raczej jej zamiennik – twierdził.

Ale czy jesteśmy w stanie przejąć się tą myślą w czasach, gdy niemal każdy napisany „tekst kulturalny” i bodaj większość dzieł artystycznych wymaga skrupulatnej buchalterii? Czy dla własnej wygody nie uznamy jej za śmieszną, gdy niemal za każdym dziełem kultury i inteligentką robótką umysłową stoją nie tylko kilku- lub wielostronicowe umowy, panie księgowo i nieczytelne podpisy dyrektorów placówek, ale też przekonane o słuszności tych procedur wysoko umocowane instytucje, silne tym, że dają na kulturę pieniądze, jakie same dostały od państwa i/lub wielkiego kapitału? Artyści zamienieni w klientelę przeróżnych

grantodawców i muzy sztukowane na prokrustowym łożu parametryzacji produkcji kulturalnej to chyba nie nazbyt przerysowany obrazek. „Więc okrążajmy kaktus nasz... kaktus nasz... kaktus nasz...”.

Eliot wskazuje, że myśl polityczna, w ścisłym sojuszu z ekonomią i socjologią, wzięła na siebie współcześnie brzemień królowej nauk

Eliot wskazuje, że myśl polityczna, w ścisłym sojuszu z ekonomią i socjologią, wzięła na siebie współcześnie brzemień królowej nauk. „Sama kultura

jest uważana za nieznaczący półprodukt, który może zostać pozostawiony samemu sobie, albo też za dziedzinę życia, którą można organizować zgodnie z ulubionym przez nas schematem”. Obie te strategie postępowania z kulturą odnajdziemy i w naszej rzeczywistości. Mamy zatem prawicowych intelektualistów sarkających półgębkiem, że nikogo na prawicy nie obchodzi kultura i próbujących zaradzić temu idąc gęsiego przez instytucje. I mamy świetnie osadzone w kulturze ponowoczesnej środowiska lewicowe i liberalne. Jedni i drudzy robią kulturę chyba w coraz większej od siebie separacji, co jest przecież antytezą kultury jako takiej.

Sprawa jest bardziej skomplikowana: całe mnóstwo dyskusji o dziełach artystycznych wynika z ich ideologicznej użyteczności. Nie toczy się przecież gorących publicznych debat o świetnych spektaklach, jeśli te nie podnoszą ciśnienia inteligentom zaangażowanym. Nikt nie kłóci się o książki, produkcje teatralne i muzykę, które nie zatrzymają na sobie o piętnaście sekund dłużej uwagi odbiorcy mediów wszelakich. Zarówno sztuka zależna od państwa, jak i sztuka zależna od rynku (nie należy

Zarówno sztuka zależna od państwa, jak i sztuka zależna od rynku, jeśli nie chcą zejść ze sceny niezauważone, bez owacji czy buczenia, muszą dać pretekst do publicznej awantury.

tego podziału traktować zbyt sztywno), jeśli nie chcą zejść ze sceny niezauważone, bez owacji czy buczenia, muszą dać pretekst do publicznej awantury. Drobne szyderstwo: prawicowy szeroki odbiorca chętnie się

oburza, że adwersarze prowokują go sztuką, ale rzadko sam z siebie zaczyna rozmowę o kulturze. Chyba że ma ona status choćby „polityki historycznej”, czyli wykazuje się niezbędną użytecznością.

Eliot pisał, że jego czasy „stały się świadome kultury w sposób, który stanowi pożywkę dla nazizmu, komunizmu i nacjonalizmu jednocześnie, w sposób, który podkreśla podziały, nie pomagając ich zwalczać”. Bodaj najlepszym wcieleniem nowego typu kultury użytecznej politycznie było imperium bolszewików: „Rosjanie stali się pierwszym współczesnym narodem świadomie realizującym polityczne ukierunkowanie kultury i atakującym ze wszystkich stron kulturę narodu, który pragnął zdominować”. Ale także w świecie Zachodu zaczęło narastać subwencjonowanie kultury przez państwo. Z kulturowego interwencjonizmu, jak to właściwie nazywa noblista, płyną pewne korzyści, choćby przepływ ludzi i idei, ale istnieje też możliwość zawłaszczenia przez państwo wszelkich nauk – budujących zarówno kulturę, jak cywilizację. Ta obawa Eliota się nie spełniła, nawet w najlepszych powojennych czasach zachodnich państw dobrobytu.

Dziś Eliot musiałby odnieść się do kultury zachodniej pierwszych dekad XXI wieku, z jej równoczesną komercjalizacją i etatyzacją

Trzeźwe wydają się sposoby, jakie autor *Wydrążonych ludzi* proponował, żeby przeciwdziałać nowym systemowym wyzwaniom XX wieku: „możemy

zapewnić pewne środki zaradcze przed wzrostem centralizacji kontroli oraz przed upolitycznieniem nauki i sztuki, dopingując miejscową inicjatywę i zwiększając jej odpowiedzialność. Do tego tam, gdzie to możliwe, należy odseparować centralne źródło środków od kontroli nad nimi”. Choćby dla tych przyczyn *Uwagi...* powinniśmy uważnie przeczytać na nowo. Dziś ich autor musiałby odnieść się do kultury zachodniej pierwszych dekad XXI wieku, z jej równoczesną komercjalizacją i etatyzacją. Być może uznałby, że kultura jeszcze bardziej podkreśla podziały, nie pomagając ich zwalczać, a politycy i biznes, łożąc na politykę kulturalną, wystawiają jej zarazem potężny rachunek.

Czytelnicy niniejszego krótkiego felietonu nie powinni ulec złudzeniu, jakie może on sprawiać: T.S. Eliot w swoim eseju nie proponował programu naprawczego dla kultury, nie pisał kontrrewolucyjnego manifestu, uwagi polityczne traktował jako bieżące egzemplifikacje głębszych zjawisk, a nie sedno spraw. Jako intelektualista widział kulturę w jej dziejowym i powszechnym wymiarze, pojmował ją jako „nieświadome tło wszystkich naszych planów”, prawdziwą ziemię ludzkiej wspólnoty. Można tylko sobie wyobrazić, jak ktoś taki musiał boleśnie przeżywać instrumentalizację kultury, przerabiania jej na „ofertę kulturalną”, by rzecz uwspółcześnić. Dla jednych będzie to rzecz

niezrozumiała i bezużyteczna, dla drugich – chorobliwa nostalgia konserwatysty za niewiadomym momentem przeszłości. Możemy jednak poważnie zapytać, czy wierzymy jeszcze w kulturę jako bezinteresowny namysł nad rzeczywistością, w jej czyste zachwyty i oniemiałe grozy. Jak się wydaje, tego chciał bronić T.S. Eliot przed zagrożeniami swoich czasów.

Krzysztof Wołodźko